

Pół wieku przy kasztach

-Kawały? – zastanawia się p. Bogdan Mokrzanowski. No pewnie, w drukarni jak wszędzie ludzie lubią sobie urządzać kawały. Pracuje się w nocy, raz jest piekielne tępo, to znów chwile przestoju... jest taki przestój, to dla zabicia czasu ludzie urządzają sobie różne psikusy. Ale najlepsze kawały przynosi życie...

- Prosimy, prosimy?

- No więc jak zaczynałem pracę w 1915 roku w drukarni „Ziemiańskiej” przy ul. Kościuszki 10, nie było u nas jeszcze linotypów. Drukowaliśmy endecki „Głos Lubelski”. Całą gazetę składało się ręcznie, literka po literce. Nie tylko tytuły – jak dziś, lecz także i teksty wszystkich artykułów. „Głos” wychodził rano, a codziennie po południu wydawał dodatek. W tym samym czasie, ale z innej drukarni ukazywała się konkurencyjna „Ziemia Lubelska”. Pewnego razu u nas w „ziemiańskiej” pomocnik maszynisty upuścił na ziemię ramkę ze złożoną stroną dodatku „Głosu”. wszystko posypało się w drobny mak. Zanim zdążyliśmy pozbierać i złożyć ponownie dodatek „Ziemi” został już wydrukowany, dostarczony gazeciarzom, sprzedany przez nich a może i przeczytany. Wyobraża pan sobie co mówiono w mieście gdy nagle „Głos” nie ukazał się?

- Panie Mokrzanowski, a jakich ludzi z okresu początków swej pracy pamięta Pan najlepiej?

- Drukarze prasowi zazwyczaj dość dobrze wszystkich dziennikarzy. Najmocniej utrwalają się jednak w pamięci tak zwani „szalejący reporterzy”. Wbrew opinii samych kół dziennikarskich, że popularność zdobywają sobie wielcy publicyści, w rzeczywistości ludzie znają przede wszystkim reporterów. W owym czasie jedna z najcharakterystyczniejszych postaci w Lublinie był red. Wojdaliński. Młody, przystojny, nieco po trzydziestce, pisał wszystko: wywiady, recenzje, poważne komentarze na tematy gospodarcze, sensacje i „kryminałki”. Miał jedną wadę: wpadał ze swoim materiałem ostatniej chwili i trzeba było to składać na łeb, na szyję. Doskonale też pamiętam innego reportera red. Kadarowskiego. Ten dbał bardziej o punktualność. Jak mu się spieszyło to jechał czym się dało. Kiedyś przyjechał do drukarni w nocy bardzo brzydko woniejący. Co się stało? – pytamy. Okazało się, że żeby zdążyć jechał wozem asenizacyjnym pełnym fekalia. Nie potraktował tej jazdy tragicznie. Uciął sobie z woźnicą rozmowę, którą potem jako curiosum wydrukował w gazecie.

Gawędzimy w czasie przerwy kolacyjnej. „Mokrzezan” to chodząca historia ostatniego półwiecza lubelskiego drukarstwa i prasy. Pamięta ludzi, pamięta wydarzenia. Opowiada mi o strajku drukarzy w roku 1919, w którym brał udział i który potem... łamał.

- Widzi pan gdy zaczął się strajk to ja już miałem powołanie do wojska. W czasie strajku wcielony zostałem do jednostki w Lublinie. I tego jeszcze dnia jako żołnierz, na rozkaz musiałem stanąć przy koszarach w drukarni wojskowej na ul. Radziwiłłowskiej.

Od pierwszych lat istnienia „Sztandaru” pan Mokrzezanowski składa tytuły w naszej gazecie. Choć ma za sobą pół wieku ciężkiej pracy (cały czas na nogach), trzyma się krzepko i nie daje się prześcignąć przy składaniu zecerom mającym połowę jego lat. A jakie jeszcze urządza kawały... niektóre przeszły już do legend lubelskiej drukarni. Choć mistrz Mokrzezanowski niechętnie przyznaje się do autorstwa i prosił, żeby o tym nie pisać.

Obecnie „Mokrzezan” – najstarszy lubelski poligrafik stoi ostatnie dni przy kasztach z czcionkami. Od pierwszego czerwca idzie na urlop, z którego już nie wróci do pracy. Przechodzi na emeryturę. Pod jego okiem wyrosli nowi zecerzy. Drukarze i dziennikarze z żalem żegnają p. Bogdana. Pociesza nas obietnica mistrza, że od czasu do czasu wpadnie do zecerni i pomoże kolegom złożyć kilka tytułów – „żeby ręka nie wyszła z wprawy”- jak mówi.